

Gdy chodziłem na koncerty ze stacji metra Jor Bagh do IHC lub IIC moją uwagę przyciągała coraz mocniej starsza kobieta, wywodząca się najpewniej z najstarszej warstwy mieszkańców Indii, z plemiennego świata Adivasi. Mieszkała ona na zetknięciu ulicy Aurobindo Margh z wbiegającą do niej Lodi Street. Po drugiej stronie tej pierwszej alei znajdowało się wejście do pięknego i samotnego grobowca Shafdarjunga. Miejsce, gdzie kobieta Adivasi przebywała cały czas, owinięta w jakieś swoje porwane koce i szmaty, nie było typowym dla indyjskich bezdomnych. Nie było tu bowiem wielu przechodniów, ani małych sklepików, jedynie wielkie rezydencje otoczone murami. Jednej z nich zrobiłem zdjęcie, bardziej z samej chęci uwiecznienia czegoś, niż z ciekawości. Ot, zwykła willa modernistyczna, z paroma palmami ocieniającymi ją. Co ciekawe zdjęcie tego zupełnie zwykłego obiektu zrobiło furorę na Facebooku, większą niż pałace Radżasthanu, czy świątynia Zęba Buddy na Sri Lance.



Zupełnie inaczej, niż cztery lata temu, narastające upały nie ograniczały życia kulturalnego Delhi. Okazało się, iż Irfan Zuberi, pełniący w nim ważną funkcję, nie rzucał słów na wiatr. Stało się już tradycją, iż stolica Indii witała mnie nie muzyką klasyczną, lecz jej lekkimi odmianami, takimi jak ghazale, czy wyrafinowane niekiedy pieśni religijne. Nazajutrz po pożegnaniu z Kają miałem zatem okazję wysłuchać pieśni Meery i Kabira w wykonaniu Rashmi Agarwal, jednej z najlepszych śpiewaczek w tym repertuarze. Było to ciekawe doświadczenie, albowiem tych dwoje mistyków pełniło ważną funkcję w rozwoju literatury hindi w ciemnym dla kultury Indii czasach. Szczególnie barwną postacią była dla mnie Meera, księżniczka z Południa bez reszty pogrążona w ekstazie do boga Kriszny i śpiewająca jak ludowa wieszczka z drewnianymi kołatkami w rękach. O ile mistyczna poezja, zwłaszcza w niedoskonałym tłumaczeniu, musi się wydać obiektywnemu

krytykowi nudna (powtarzające się uparcie słowa, zwroty, sytuacje), o tyle południowoindyjska mistyczka w znakomity sposób ukazała swoje wizje poprzez igranie na granicy dopuszczalnych wówczas skal. Gdy ów muzyczny niepokój wyrażał czysty i niezwykle sprawny kobiecy głos, trudno było się oprzeć czarowi tej twórczości.

Kobieta Adivasi też śpiewała. Było to wiele miesięcy temu, jeszcze zanim wyjechałem na Sri Lankę. Później jakby cichła i gasła. Nie wiem na co czekała i czy czekała. Jakoś przetrwała zimę, którą ja spędziłem w okolicach równika. W przeciwieństwie do zjawiających się niekiedy koło niej żebraczych rodzin, nie prosiła przechodzących o żadne wsparcie. Gdy wracałem z koncertu wypełnionego pieśniami Meery i Kabira zobaczyłem, iż leży pod tym samym kocem ze znacznie młodszym od siebie mężczyzną, wyglądającym na jogina Sziwy dzięki charakterystycznemu kłębowi włosów na głowie. Nie wiem, czy był on jej synem, jakimś dalszym krewnym, czy też niezwykłym kochankiem. Mijając tych dwoje, przytulających się ludzi, nie mogłem nie pomyśleć o tym, iż nie ma jednych Indii, lecz wiele ludzkich światów nakładających się na siebie w zupełnie nieoczekiwany sposób na tej spalonej słońcem ziemi.

Następną atrakcją okazał się być dwudniowy festiwal urządzony przez stowarzyszenie promujące sztukę muzyczną ojca Pandita Prateeka Choudhuri, tego samego, który już wielokrotnie występował w Delhi ze swoją fuzją muzyczną, za którą dostał prestiżowe wyróżnienia i z czym nie mogłem się zgodzić, była to bowiem fuzja nie sięgająca powyżej wrażliwości rodem z muzyki pop, a przecież muzyka o wielkich klasycznych tradycjach, do tego pandita, powinno być stać na coś więcej. Tym razem skusił mnie jego ojciec, przy okazji zaś dwudniowego festiwalu dowiedziałem się, iż zbierane są datki na jego fundację, zaś młody Choudhuri wspomaga owo przedsięwzięcie, jednocześnie promując samego siebie. Zanim rozpoczął się koncert, obejrzelśmy fragment filmu o guru ojca Prateeka. Ów dokument, zrobiony dość domowym sumptem, zgodnie

z indyjską konwencją, ukazywał guru jako człowieka mocnego, prostego, a jednak wszechmogącego. Nawet żona mistrza stała się jego uczennicą i była bita w razie nieudolności na równi z jej kolegami. Inny uczeń mówił z kolei przez dziesięć minut i w bardzo niejasny sposób o łaskawości guru, który uczył go pomimo braku środków na opłacenie nauczania. Zrozumiałem z tego, iż stary mistrz z uporem i w prosty sposób upominał się jednak o pieniądze, co uczeń odbierał jako wielkoduszne żarty i o czym z lubością opowiadał. Guru – dziad Prateeka mieszkał w Varanasi, w jednej z wielu kamieniczek, gdzie klatki schodowe są tak wąskie, iż nawet bardzo klaustrofobiczne mieszkanie musi zająć kilka pięter. Tym niemniej ów człowiek grał rzeczywiście wspaniale. Niestety, po materiale filmowym okazało się, iż ojciec Prateeka miał coś z ręką i nie mógł zagrać, więc zastąpił go w radze Jog jego syn. Po raz pierwszy miałem okazję usłyszeć go w repertuarze w pełni klasycznym. Miał bez wątpienia wiele talentu, lecz dominowały nad nim gwiazdorskie skłonności, karzące zmienić podróż przez struktury ragi w dość płytki show. Akompaniował mu Akram Khan, coraz znakomitszy, nadworny delhijski tablista, grający zazwyczaj z najlepszymi. Poczuli się on wyraźnie speszony, gdy młody gwiazdor skłonił go do dialogu na niby, podobnego do tych, jakie opracował dla swoich fuzji. Czyli dwa szarpnięcia w struny i jedno w powietrze, temu ostatniemu zaś towarzyszący gwiazdorski uśmiech na twarzy Prateeka. I tak wiele razy, zaś Akram musiał udawać, iż robi to samo (czyli nic) z tabłą. Każdemu pustemu dźwiękowi towarzyszył zachwycony rechot i brawa publiczności, a ja miałem ochotę wyjść. Zanim zaczął się koncert, dowiedziałem się, iż jednym z głównych gości miał być Ustad Asad Ali Khan, który jednakże nie przyszedł z uwagi na złe samopoczucie. Pomyślałem, iż wielki muzyk wymigał się po prostu w ten sposób, lecz niestety, była to tylko część prawdy.





Następny dzień przyciągnął mnie pokazem dwóch utworów

Ferenza Liszta, którego okrągła rocznica przypadała w tym roku. Obchody poświęcone wielkiemu węgierskiemu romantykowi odbywały się intensywniej w Delhi, niż na przykład w Polsce. Nie bez znaczenia był tu wkład Ośrodka Kultury Węgierskiej, który nigdy nie schodził z kulturalnego kalendarza stolicy Indii. Oczywiście, z perspektywy ośrodka lepiej byłoby wspierać wiedzę Hindusów o Bartoku, czy Kodalym, bowiem Liszt, choć czuł się Węgrem, nie za wiele wiedział o rzeczywistości swojej baśniowej ojczyzny dzieciństwa. Kulturalnie był Liszt w pełni sfrancuziałym Niemcem. Tym niemniej ja się z tego cieszyłem, albowiem uwielbiam chtoniczny i ekstrawertyczny romantyzm Liszta, najłatwiej dający się odnieść do innych sztuk, którymi rządziła romantyczność. Oczywiście nie zaproszono do Delhi zbyt wielu wielkich muzyków, odbywały się natomiast pokazy z DVD i na jeden z nich poszedłem, stęskniony już bardzo za europejską muzyką klasyczną, choć nie narzekający na indyjską. Odtworzono z DVD Sonatę Dantejską w wykonaniu legendarnego pianisty Brendla, oraz Symfonię Faustowską pod batutą Bernsteina. Znałem te wykonania, lecz miło je było sobie odświeżyć, podziwiając jednocześnie muzyków. Nagłośnienie w India International Center było znakomite. Najbardziej zainteresował mnie jednak wstęp wygłoszony przez indyjskiego propagatora europejskiej muzyki klasycznej, bardzo przy tym eleganckiego (tak jakby wciąż wierzył, iż my tu, w Europie, wciąż jesteśmy jak Liszt romantyczni...). Tym niemniej znane mi fakty i kompozycje zostały zademonstrowane w bardzo zajmujący sposób i ku mojemu zdziwieniu nie nudziłem się ani trochę (wyobraźmy sobie odwrotną sytuację, w której doświadczony indyjski meloman zapoznaje się na przykład z moim tekstem wyjaśniającym, czym w ogóle jest muzyka Indii). Nie wiem natomiast, co myślała zgromadzona w Sali IIC indyjska publiczność. Na ile enigmatyczna postać Liszta była dla nich możliwa do zrozumienia? Z całym, po części celowym szaleństwem, z miotaniem się od satanizmu, tudzież hedonizmu, po przywdzianie szat zakonnych? Na ile Hindusi mogli zrozumieć nostalgię gnębiącą europejskich artystów w trakcie postępującej lawinowo

Rewolucji Przemysłowej i wciąż kwestionowaną przez oświeceniowy racjonalizm, który, choć przegrał – to na szczęście – zwyciężył? Z moich doświadczeń z mieszkańcami Indii wynikało, iż choć są oni nieraz nieskończenie wręcz sentymentalni, to jednakże romantyzm jest czymś niemal całkowicie sprzecznym z ich naturą. Dominował pragmatyzm zmiękczone przez miłość do rodzin, przyjaciół i ukochanych, oraz przez ślepy niemal szacunek do autorytetów, wśród których zdarzały się oczywiście indywidualności zupełnie nie pragmatyczne (albo przynajmniej chcące sprawiać takie wrażenie). Wiele bym dał, żeby umieć czytać w myślach w takich chwilach. Bo możliwe przecież, że się mylę. Hindusi byli, bądź co bądź, podbici przez Anglików, ojców romantyzmu w prozie i architekturze, zaś sanktuaria romantycznej brytyjskości wciąż miały na Subkontynencie rzesze wielbicieli. Choć nie wiem, czy owo uwielbienie nie rozmijało się z rzeczywistym charakterem miejsc takich jak Shimla, Mussoorie, czy Nanital.

Następnego dnia zaskoczył mnie pozytywnie recital sitarowy Kanadyjki bodajże, Amelii Marciszewski. Wywodziła się ona ze szkoły Raviiego Shankara i w jej grze słychać było wiele sztuki, wysublimowania dźwiękowego i konstrukcyjnego. Coraz bardziej zataczałem w moich poglądach koło i dochodziłem do wniosku, iż w sitarze jest jednak coś szczególnego. Nie był to szczególnie oryginalny pogląd, bowiem nie wiedząc wiele o muzyce indyjskiej kojarzy się ją z sitarem, który jest stosunkowo nowym instrumentem na Subkontynencie (liczącym sobie góra dwa – trzy wieki). Klasyczna muzyka Indii to przede wszystkim śpiew, nasza muzyka jest przy niej niezwykle instrumentalna. A jednak sitar i oddani mu muzycy wciąż i wciąż udowadniali mi, iż wielu śpiewaków pozwala sobie przy nich na rażącą bylejakość i automatyzm kastrujący formę muzyczną z całej przynależnej jej głębi. Tak było i tym razem, choć znów musiałem przyznać, iż nie da się nie odróżnić zagranicznego adepta muzyki indyjskiej od autochtona. Nawet u znakomicie wyszkolonych uczniów, spędzających ogromną część swego życia w Indiach słychać niekiedy jakąś sztuczność,

chłód, coś zupełnie nieindyjskiego. Widać odpowiedniego słyszenia i wykonywania dźwięków trzeba się uczyć w Indiach i to od wczesnego dzieciństwa. Inaczej inne nawyki słuchowe będą nie do przewyciężenia. Tym niemniej występ Amelii Marciszewski przyjąłem z dużym zadowoleniem, lepiej chyba niż ogół publiczności indyjskiej, która z kolei nie zawsze umiała pójść za możliwą w muzyce powagą i głębią przesłania.

Następnego dnia miałem okazję oglądać w tańcu kathak kolejną doświadczoną uczennicę wielkiego Birju Maharaja. Tańczyła świetnie, jednakże nie umiała zamaskować rozczarowania, na jakie naraziła ją niska frekwencja stołecznej publiczności. Jej nazwisko (które i ja, jak na złość, gdzieś zapodziałem) nie było znane i nie przyciągnęło wygodnych Delhijczyków (którzy bywają, nota bene, bardzo leniwi również wobec bardzo znanych nazwisk). Tańczyła naprawdę dobrze, lecz, czy to z uwagi na brak publiczności, czy też na ogólną konstytucję psychiczną, nie miała w sobie ani za grosz charyzmy. A ta tancerzom przydaje się niemal równie mocno jak dyrygentom, czy politykom. Chodzi o to, żeby sama czyjaś obecność uciszała zgromadzonych i wprowadzała ich w stan oczekiwania. Jest to cecha zawarta najpewniej w genach, którą można doszlifować, lecz której nie można się nauczyć od zera. Wielu musiało być w Indiach tancerzy i tancerek, którzy mimo ogromnej pracowitości, sprawności i wyobraźni nie posiadali tego blasku, jednającego im widzów. Zapewne wielu z nich, podobnie jak bohaterka tego wieczoru, zostawało nauczycielami w mniej, lub bardziej prowincjonalnych ośrodkach. Z pewnością niektórzy z nich, również podobnie jak bohaterka tego wieczoru, miało okazję niekiedy wystąpić w stolicy i podobnie jak ona, wypatrywało wtedy znaczących gości, którzy mogliby otworzyć wrota do kariery, lecz oni zazwyczaj nie przychodzili, dając niekiedy zwiędnąć naprawdę pięknym kwiatom. Życie kulturalne w Indiach było rzeczką o węższym korycie niż jego europejski odpowiednik, dziennikarze nie radzili sobie zupełnie z ilością wydarzeń i trzeba było mieć naprawdę wiele szczęścia, aby zostać zauważonym nawet w



bardzo prestiżowej sali. Ciężko się w tym kontekście dziwić rozpaczliwej niemal żądzy bycia uwiecznionym na fotografii na jaką cierpiało wielu Hindusów. Nikt nie chciał być anonimowym w tym ponad miliardowym narodzie, zaś okazji, aby ukazać się choćby w bardzo lokalnych mediach było o wiele mniej niż na Zachodzie.

Kiedy Kaja odleciała, zaczęły się zupełnie nieoczekiwane opady deszczu. Normalnie w Delhi całkowita niemal susza powinna trwać aż do początku pory deszczowej, która miała nadejść najwcześniej za miesiąc. Tym niemniej pojawiły się całkiem obfite ulewy, stanowiące niezwykle interludium dla mającego dopiero nadejść monsunu. Hindusi ową niezwykłą zmianę pogody, nie bez racji zapewne, przypisywali globalnemu ociepleniu, którego idea stawała się tymczasem coraz mniej modna na Zachodzie, zwłaszcza pod wpływem USA, które nie chciały nakładać ekologicznej smyczy na swoją kulejącą obecnie, paliwożerną gospodarkę. Gdy patrzyłem na tłumy zaskoczonych i niezbyt szczęśliwych przechodniów, handlarzy, rykszarzy i żebraków, zmiany klimatyczne stawały się dla mnie hałaśliwym, namacalnym faktem. Adivasi, smagana deszczem, kurczyła się jeszcze bardziej. Zdezorientowani, stołeczni nędzarze nie dokładali wielkich starań, by chronić się przed przemoknięciem. Na szczęście, choć temperatura spadła, nie było bynajmniej chłodno.



Z uwagi na rosnącą wraz z żarem ostrość potraw coraz

częściej zacząłem jadać niezbyt pikantne, delhijskie pizze, serwując się w jednej z tysięcy restauracji na Pahar Ganju, polecanej mnie i Kai przez naszych znajomych studentów z CIH. Kucharzom tego przybytku udawało się ugotować potrawy z całego świata, od kuchni francuskiej, poprzez żydowską, aż po tajską. W połowie maja zaczął się też sezon na jakiś ściśle lokalny przysmak, wyglądający jak coś zapiekanego w wielkiej, wydrążonej głowie kapusty. Gdy ową potrawę podawano, zazwyczaj Hindusom, buchały z niej jeszcze kłęby gorącego dymu. Musiała być bardzo smaczna, skoro klienci godzili się na dodatkowe źródło ciepła przy takich upałach! Tym nie mnie nie odważyłem się zaryzykować, bowiem jedną z rzeczy, które lubiłem w owej pizzerii był przyjemny chłód, uzyskany za pomocą kombinacji zwykłych wiatraków z dwoma urządzeniami AC, zbyt słabymi, aby schłodzić samodzielnie całe wnętrze. Obok tajemniczej, kapuścianej potrawy, w owych dniach restaurację ubarwiała turystka – idealistka, stawiająca każdego dnia obiad przygarniętemu po drodze żebrakowi i spożywająca go razem z nim, czy też z nią. Po jakimś czasie zaszokowało to szefa restauracji do tego stopnia, iż starał się wyperswadować swojej klientce ten niezwykły zwyczaj. Zniechęcało to bowiem wielu autochtonicznych konsumentów. Szef mógł się zatem wydawać brutalnym typem, tymczasem jednak wraz ze swoimi kelnerami zagadywał przyjaźnie gości. Na moich oczach stopniowo zaprzyjaźnił się z grubym Amerykaninem, którego okradziono i który przez dłuższy czas stołował się na kredyt. Nie przeszkadzało mu to ciskać gromów na Indie i Hindusów. Pierwszy raz jak słyszałem jego „gadkę” miałem wrażenie, iż obsługa wyrzuci go zaraz na zbity pysk, albo też dojdzie do nie lada kłótni. Tymczasem nie. Szef i kelnerzy lubili go słuchać i śmiali się z rzucanych na nich i ich kraj oszczerstw. Ja też się uśmiechałem, z zadowoleniem odkrywając Hindusów posiadających zdolność autoironii i obserwując portret czcigodnego ojca – założyciela, wiszący na ścianie i przybrany w girlandy. Składano mu oczywiście ofiary z kwiatów i owoców. Gdy Amerykanin i restauratorzy weszli już w bliższą komitwę, Jankeś, biorący wciąż wszystko na kredyt, lubił

drażnić się z szefem w ten oto sposób: „Zdaje ci się, że jesteś bogaty” – mówił na przywitanie – „tymczasem w cywilizowanym świecie wszystko co masz, to są nędzne grosze. Niejeden robotnik w Teksasie ma więcej niż ty w swoim banku.”. Czekałem na rozróbę, tymczasem nic – wzajemna serdeczność indo – amerykańska rozwijała się bez przeszkód. Amerykanin po jakimś tygodniu, albo dwóch ściągnął w końcu jakieś pieniądze i spłacił swoje długi, po czym zaczęli rozmawiać z szefem o jakichś interesach, zapewne o pomocy w otwarciu małej jadłodajni dla robotników z Teksasu. Lubująca się w dobroczynności turystka, też będąca najpewniej Amerykanką, nie mogła liczyć na takie względy szefa. Wyglądała tak, jak każda osoba zbyt dosłownie przejęta stereotypami na temat kultury indyjskiej. Wychudzona jogą i pobożnymi postami, zaniedbana dobrowolnymi pielgrzymkami, mówiła Hindusom o hinduizmie niemal zupełnie im obcym, popularnym za to w niektórych kręgach zachodnich neohinduistów. Amerykanka znała zapewne uczone i mistyczne księgi na temat Kriszny, bądź innego boga, o których większość Hindusów nie miała i nie chciała mieć pojęcia (z braminami włącznie, a może zwłaszcza). Tym niemniej tolerowano ją, choć co jakiś czas szef sugerował jej, aby spróbowała nakarmić żebraków na zewnątrz, a nie przy stole, skoro jej tak zależy. Oczywiście większość owych karmionych byli to profesjonalni oszuści, najczęściej Cyganki z nie swoimi dziećmi, czujące się zażenowane czułościami, jakie naiwna dobrodziejka przyznaje ich zakupionym i ostro wytresowanym obiektom do zebrania.

Następnego dnia szykowało się nie lada wydarzenie. Miała wystąpić Sułochana Brahaspati, największa śpiewaczka z Gharany Rampurskiej. Stylistyka powstała na niewielkim, przypominającym fantazyjną willę dworze w Rampurze należała do jednych z moich ulubionych. Paradoksalnie, choć jej instrumentalny odłam był znany na całym świecie za sprawą reform legendarnego Ustada Allauddina Khana, którego uczniowie (z panditem Ravim Shankarem na czele) utworzyli ostatecznie gharanę – córkę, zwaną Maihar Gharaną, to oryginalny styl

wokalny Rampuru był w jakimś sensie niszowy. I choć Sulochana Brahaspati bezsprzecznie należała do największych artystek obecnie żyjących, to jej nagrania było jak na lekarstwo, zaś wszystkim płyt przedstawicieli Rampuru, bardzo uzdolnionych, było mniej niż fonogramów dowolnego znanego śpiewaka z Gharany Jaipurskiej choćby. Gdy zatem szedłem na koncert w stanie szczęśliwego podniecenia, mój nastrój zmieniła na jakiś czas Adivasi, która wyraźnie, pod wpływem nieoczekiwanej niepogody, gasła, jak ogień zalany wodą. Niemal na palcach minąłem ten dziwny, cienisty świat, nakładający się na ulice eleganckich dzielnic Delhi, lecz nie spotykający ich tak naprawdę. Znów zacząłem się pytać w myślach o to, co robiła tu ta kobieta i jej podobni. Nie szukała tu przecież pracy. Nie żebrała nawet. Czy na coś czekała? Czy ogrodnikiem w którejś z rezydencji był jakiś jej daleki (a może bliski) krewny? Czy przynosił jej jedzenie? Może też powinienem był się zachować jak ta amerykańska turystka i zaciągnąć tę Adivasi do restauracji, żeby coś zjadła, choć w przeciwieństwie do ascetycznej Jankeski byłem obecnie bogaty w kwoty ujemne? „Nie” – pomyślałem – „nie czuję się winny. Nie da się pomóc ludziom w ten sposób. Zajmuję się tradycją indyjskiej muzyki klasycznej, która też po części odchodzi, jak ta Adivasi. Muzyka klasyczna nie jest żywą osobą, ale przecież niesie ze sobą wspomnienia, marzenia i szukanie piękna milionów żywych kiedyś osób, bardzo innych niż my, mówiących niekiedy o źródłach kultury indyjskiej znacznie więcej niż żyjący obecnie Hindusi.”





Okazało się, iż tym razem w Habitacie odbywała się bardzo prestiżowa impreza i przyszło nawet sporo osób. Jedną z głównych animatorek była urodziwa, młoda Hinduska w pięknym jedwabnym sari, zalecająca się niemal do wszystkich napotkanych VIPów. Była tancerką kathak, zaś starsi mistrzowie tego tańca patrzyli na jej zabiegi z pewnym zgorszeniem, choć i oni nie raz musieli tak działać dla ocalenia swej sztuki i własnej popularności. Tym niemniej to, co wyczyniała owa młoda tancerka, wykraczało nawet poza ich doświadczenia. Ściągnęła nawet jednego z głównych lamów tybetańskich, który słynął z umiłowania do sztuk wszelakich i, w związku z tym, nieco speszony zainaugurował koncert. Muszę przyznać, iż choć jestem bardzo sceptyczny wobec przesadnej tybetomanii, to jednak mówił on o sztuce ładnie i ciekawie. W szkołach lamaistycznych musiano uczyć przemawiania na wysokim poziomie. Tak poza tym miałem nieodparte wrażenie, iż jegomość ów zdał sobie sprawę z

tego, iż nie za bardzo wie, kto i na co go zaprosił. Wygląda na to, iż na wszystkich szerokościach geograficznych zdarzają się pewne sobie damy, które są w stanie zaciągnąć na upatrzone przez siebie wydarzenie dowolną osobę.

Okazało się, iż koncert otwiera właśnie owa młoda dama w towarzystwie zespołu instrumentów indyjskich. Nie tańczyła ona jednak, lecz traktowała jako jeden z instrumentów dzwoneczki gongru na swoich stopach. One były oczywiście instrumentem tancerza, lecz pierwszy raz widziałem próbę ich czysto instrumentalnego zastosowania. Młoda dama zapomniała wcześniej zauroczyć akompaniujących jej muzyków i nie zwracali oni na nią większej uwagi. Tym niemniej robiła dobrą minę do złej gry i tupała prosto i bezpretensjonalnie, cały czas wyglądając ślicznie. Tybetański miłośnik sztuk, podobnie jak i ja, zaczął ukradkiem ziewać, spojrzałem zatem z sympatią w jego stronę. Zdaje się, że obaj czekaliśmy na Sulochanę.





Gdy wielka artystka weszła, zdumiał mnie jej wiek. Była już staruszką, choć na płycie, którą posiadałem, a wydanej przez dzielnego lorda Nimbus ze Szkocji, wyglądała jeszcze jak młoda i ponętna kobieta. Ciężko było doprawdy znaleźć nagrania aktualnych dokonań indyjskich muzyków. Większość ukazywała się z dwudziestoletnim opóźnieniem. Tym bardziej warto było być obecnym na koncertach, zwłaszcza tych wielkich artystów, którzy już kompletnie nie mieli szczęścia do indyjskiej fonografii (nigdy nie widziałem płyty Sulochany wydanej w Indiach). Sulochana Brahaspati, podobnie jak ostatnio inni wielcy przedstawiciele gharan khayalu, nawiązała do stylu dhrupad. Przyczyna była prosta – dwaj najwięksi i jedyni mistrzowie dhrupadu – winista Asad Ali Khan i wokalista Fahimuddin Dagar byli ciężko chorzy, a nie mieli godnych siebie kontynuatorów (w kilka dni po moim wyjeździe z Indii obydwaj niestety zmarli). Z nimi odchodziło tysiąc lat

tradycji rozwoju form klasycznej sztuki dźwięku. Odchodziło bezpowrotnie. Dlatego też mistrzowie khayalu, sięgającego genezą początków XIX wieku, starali się odtworzyć bazę na której powstawały ich stylistyki. Sulochana Brahaspati zrobiła to rewelacyjnie w radze Jog. Oniemiałem dosłownie z wrażenia. Głos artystki nie był już przy tym tak świeży jak na mojej szkockiej płycie, tym niemniej zachował delikatne, mikrotonalne cienie, szczególnie wysmakowane w stylistyce rampurskiej i będące jak najśłodszy przysmak dla miłośnika muzyki indyjskiej. Były to momenty, kiedy muzyka unosi się i staje gdzieś ponad i poza czasem, niczym powolne i niemal niezmiennie gwiazdziste niebo. Poczułem niemal, jak ogarnia mnie głębia i chłód wszechświata i uśmiechnąłem się do korpulentnej staruszki śpiewającej przede mną. Oczywiście ów bezruch wymagał nie lada umiejętności i złożony był z setek mikrostruktur, których wykonywanie wymagała ciągłego wysiłku. Jako, że na zakończenie wieczoru ujrzeliśmy jeszcze świetny występ tancerki bharatanatyam, występ Sulochany Brahaspati trwał dość krótko, lecz wystarczająco długo, aby na zawsze wyryć się w mojej pamięci i posłużyć mi inspiracją w książce o muzyce indyjskiej. Ale, nie będąc przesadnie zarozumiałym pamiętaczem, nagrywałem też to wszystko bez większego zażenowania. „Kto, jeśli nie ja..?” – zapytywałem się w myślach i cieszyłem się z tego, iż będą mógł jeszcze setki razy analizować największe niuanse ragi Jog w interpretacji Brahaspati, ku pożytkowi wszystkich prawdziwym melomanów. Jeśli chodzi o europejski świat miłośników klasycznej muzyki indyjskiej, to wciąż jeszcze była ona postrzegana jako bezpostaciowa magma. Moment, w którym jakieś reprezentatywne grono europejskich melomanów zda sobie w końcu sprawę, iż indyjska sztuka dźwięku ma swoich wielkich bohaterów, dopiero kiedyś nadejdzie i wtedy takie nagrania, jak to z tego koncertu, będą na wagę złota. Być może dożyję tej chwili, a jeśli nie, to zagrzebię podobne do tego nagrania głęboko w sieci, na wielu serwerach, aby, gdy przyjdzie czas, jakiś ambitny europejski kompozytor mógł to odkopać i się tym zainspirować.

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)